

# Leszek Soliński

---

## Kartka wizytowa : Wizytówka : Haniebne czyny : Konie w gabinecie Konopnickiej

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (52), 233-241

---

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Leszek Soliński*

**Kartka wizytowa  
Wizytówka  
Haniebne czyny  
Konie w gabinecie Konopnickiej**

Kościane drzewo wesolo śpiewa  
Koń na baranie ogonem kiwa

Co to za zagadka? Zadano mi ją pod koniec 1943 roku. Wtedy nie zgadłem, nie wiedziałem – nie oswoiłem się jeszcze z dowcipami ludowymi. Do tego najczęściej takie zagadki były prowokacjami. Na przykład: jeden przemądry zapytał mnie, czy wiem, czym mnie ojciec zrobił. Należało odpowiedzieć, że „człowiekiem”, ale większość wstawiała anatomię, kompromitując się. Zaczynało się to moje życie pod znakiem konia i barana – czarnego barana, wspaniałego jak barany Odyseusza. Właśnie w tym roku, że „Niemiec się wycofuje” i że zabierają po wsiach konie. „Pod brzegiem”, w dawnym głębokim korycie Jasiołki, świetnie dało się ukryć i wkomponować naszego wspaniałego wałacha. Przyszła Hanka Łemka z prośbą, żeby jej koniem przeciągnąć leżące pnie drzew. Poszedł mój ojciec to zrobić. Ja poszedłem za nim, ale ojca z koniem ani śladu, pni drzew też nie widziałem,

koniam też nie ma. Matka spokojna, więc byłem pewny, że wszystko w porządku – i tak było. Hanka była najpierw służącą u Żydów, u Dawida Kimla, a później przez pięć miesięcy u nas, bo Zofia Konopnicka Królikowska Mickiewiczowa chciała ją wziąć z przyzwoitych rąk i do domu. O Hance śpiewano:

A u naszej Hanki cycory jak dzbanki,  
a u pisi bąbelisie, a w dupie organki,  
kolo sraki bąbelaki, z dupy wisi kawał flaka,  
spierdolona cała sraka.

Mnie uczono różnych pieśni i powieści, przez kwiatki donosząc, że „niektórzy chodzą tam do Hanki i uczą się grać na starym fortepianie”. Nauki były ciągłe, bo pod przymusem wlewano we mnie samogon i dawano przykład, jak się zbiorowo onanizować. Mówiono też do mnie i do mojej siostry: „Na co ci się uczyć – masz morgale, morgale będą na ciebie robić”, albo: „Lubię tę Wiśkę, bo taka dumna sama ze siebie”. Gdzieś tak pod wieczór przyszli za koniem Niemcy i zastali tylko mojego brata Waclawa, kulawego, źle słyszącego na jedno ucho z powodu kulawej nogi, więc Waclaw świetnie nadrabiał swoją głuchotę sprzątając stajnię. Siostra Jadwiga umiała powiedzieć parę słów po niemiecku i zacytować *O Tannenbaum*. Trzeba przyznać, że po takich występach „Niemczochy” wybitnie głupieli, ale też i może się lepiej czuli w okupowanym kraju. No, ale udało się dzień przeżyć i napisać rozdział w księdze życia (żywota).

O szarówce matka kazała mi iść do dworku do Hanki i zapytać się, jak i co, czy byli u niej Niemcy, itd., „na zwiady”. Poczyła mnie też matka: – Pierwszy to się jej pokaż, żeby się nie nastraszyła.

Hanka była w kuchni, przy naftowej lampce. Niemcy też byli u niej i przeszukali starą stajnię i szukali śladów końskich, ale tylko kuropaty się zerwały i narobiły krzyku. Hanka wzięła lampkę naftową i wiodługą sienią. Nad drzwiami do pokoju wisiała portiera czerwono-biała i u góry, bardzo eksponowany pośrodku otwartych na oścież drzwi, wisiał orzeł polski wykonany techniką dywanową. Znaleźliśmy się, jak się domyślałem, w salonie, który wtedy widziałem przez moment i oszołomiony byłem upiornymi, jak mi się wtedy zdawało, gipsowymi rzeźbami. Drzwi od następnego pokoju otwarła Hanka kluczem, schowanym właśnie za rzeźbą. W tym pokoju stały dwa konie: nasz i Mietka Filipowego. Na bardzo piękną posadzkę położona była obficie słoma,

tak że podkowy końskie nie raniły podłogi. Zapachy, ale jakie – palisandrowy zapach dworku pomieszany z zapachem końskich jabłek. Konie prychały, zgodnie coś tam dojadaty. Kobyła Mietka świetnie się zdała z nowym „plackiem”. Ukryte były w leszczynach i czeremchach dworkowych, ale Hanka sprowadziła je przez werandę do tego pokoju. Później się dowiedziałem, że był to gabinet Konopnickiej i jej biurko, stolik i dwa taburety zostały wyniesione na werandę. Przy okazji przyjrzałem się obrazkom wiszącym między oknami. Drzwi od werandy były otwarte, tak że w każdej chwili była możliwość manewru.

– Wiesz, Liszek, jakby co, to te konie da się wyprowadzić tędy – i pokazuje wąskie drzwi świetnie zamaskowane w sionce, drzwi płaskie i obramowane tylko wąską blaszaną listewką. Jestem bardzo zaintrygowany tym tajnym przejściem i mówię:

– To prowadzi na korytarz.

– A ni, to idzie koło mnie.

Po otwarciu tych płaskich drzwi ukazał się mały trójkącik, który powstał przez przepierzenie sieni. Była to mała niesymetryczność w tym dworku.

– Haniu, jak możecie, to pokażcie ten drugi pokój.

– A co bym ni mogła? Ale powiedz mi, gdzie jest Teczka? I co ta cholera na mnie mówiła?

Na wszystkie te pytania staram się odpowiedzieć ugodowo i obłaskawiająco. (Teczka była bardzo piękną dziewczyną, miała wspaniałe oczy, którymi przewracała. Podpatrywaliśmy ją z góry i z dołu, wspinając się po drzewach. Tyle było wszystkiego, że Teczka raz powiedziała do mnie: „Poldek widział, że mam włosy. Czy to prawda?”). Unikając tematu Teczki zapytałem Hankę:

– Czy w tym pokoju zmarła Laura Pytlińska?

– A ni – odparła – w tym naprzeciw kuchni. Była to pani bez nerwów i bez kości.

– Jak ona wyglądała? – pytam.

– A czarna. Masz ją na tych portretach.

– Czy to jej portret? – pokazałem taki portret damsko-męski z olbrzymim nosem.

– A ni, to podobno jakiś muzyk i gdzieś w świecie zmarł. Chodź, to ci pokażę, jaka ona była na tych portretach, czarna.

I wróciliśmy do tego pokoju, który uprzednio przechodziliśmy. Tam w kącie pokoju, na tle brązowej makaty stało prawdziwe popiersie

Laury, tylko nie tak wykończone i przystosowane, jak nad jej grobem. Po prostu tkanina okrywająca ciało potraktowana była po rzeźbiarsku, trochę tak, jak na portrecie Ludwika Solskiego. W górze, na tle bordiury makatowej wisały białe gipsowe głowy.

– To przyjaciele i wielbiele nasi naszej pani – powiedziała Hanka.

Obok popiersia był odlew dłoni z dobrze widocznymi liniami papilarnymi, jeszcze niżej podłużna fotografia, chyba Laury (bo kogo?) z gałęzią akacji. Na środku ściany, na ciemnobordowym tle, wisała reprodukcja witrażu Wyspiańskiego św. Salomei. Obok wisała piękna sepiowa fotografia Niki Samotrackiej, a pod nią bardzo piękna, większa od innych fotografia Laury w żydowskiej czapce z kokosznikiem perłowym i z upiętym welonem. Czapka nałożona ciekawie, bo na środku czoła był metalowy pompon, a dwa inne koło uszu schowanych pod kokosznikiem i welonem. Między popiersiem a św. Salomeą wisi, w ładnych ciemnych rameczkach, Wańkowicza portret Mickiewicza, ten młodzieńczy z okresu *Ballad i romansów*. Gdzieś pomiędzy, trochę niżej, wisi podłużny portret Marii Konopnickiej, twarz ujęta była *à trois quarts*. W kącie pokoju stała szafa biblioteczna, na pierwszej półce osiem tomów dzieł Marii Konopnickiej w półskórkowej oprawie – grzbiety były fioletowe z wytłoczonym ornamentem, zaś napis „M. Konopnicka – Poezye” był złoty. Na szafie stały gipsowe głowy. Na małym stolyczku, chyba do robótek, stała gipsowa statuetka żołnierza – taką samą statuetkę, tylko w brązie, widziałem w Jedliczu na biurku męża Zofii Konopnickiej-Mickiewiczowej. Fotele całe miękkie, pokryte fioletowym aksamitem. Na oparciu i siedzeniu wszyte były dywaniki karamani o geometrycznych, bardzo ciepłych wzorach. Zgrupowane były dokoła elipsowatego stołu na jednej nodze. Na tym stole stała lampa naftowa o motywach egipskich i o podstawie z dwóch kwadratowych sześciąt. Ciemnoturkusowa kula wspaniale mistycznie wyglądała na tle bordowej makaty. Właśnie ta kula matowa łączyła cały pokój. Między dwoma oknami wisało lustro, znakomicie powiększając pokój. Złote duże ramy w jakiś wspaniały sposób komponowały ścianę. Na tej ścianie wisały wtedy oprócz lustra dwa obrazki: fotografia pomnika Bartholomé’a z cmentarza Pere-Lachaise w Paryżu oraz, na tle przypiętego dość dużego projektu afisza Jana Rembowskiego, taki sam wydrukowany afisz, tylko z liternictwem i programem. Ten mniejszy afisz był oprawiony. Ściana naprzeciw okien była bardzo piękna. Na środku jej wisi pastel Wiwulskiego pt. *Gra w karty*. Ma-

larz malował go przy sztucznym świetle, więc było wiele pomarańczowo-żółtych kolorów i znakomicie harmonizował z obiciem foteli. Stał tu owalny stolik, i tutaj Hanka pozносиła różne spakowane i powiązane papiery. Na tej ścianie a kątem pokoju z szafą biblioteczną wisiały trzy obrazki. Najwyżej, zbliżona do kwadratu, wisiała reprodukcja obrazu Dantego Gabriela Rossettiego przedstawiającego kobietę z irysami; niżej była reprodukcja kolorowa jakiegoś wnętrza niemieckiego z serwantką; najniżej fotografia płaskorzeźby flecistki greckiej z Museo Nazionale w Rzymie. W kącie przy drzwiach stała szafa nie oszklona pełna książek. Po drugiej stronie drzwi, przylegając jedną częścią do komina, stała mała kozetka pokryta bladozielonym aksamitem. Dookoła niej wisiała makata z francuskiego czerwonego jedwabiu, a na niej zawieszono były obrazki. Z tego, co pamiętam, to wisiała tam reprodukcja autoportretu Stanisława Wyspiańskiego, autoportret Włodzimierza Koniecznego, taki z włosami na czole, oraz reprodukcja obrazu angielskiego malarza, przedstawiająca błędnego rycerza z kobietą. Najlepiej pamiętam tę ścianę i te rzeczy, które widać było z bardzo niskich okien żarnowieckiego dworku.

Pokaz i oglądanie żarnowieckiego salonu zakończyło delikatne pukanie mojego ojca, który przyszedł za koniem i za mną. Powiedział: „Dziwię się, Haniu, żeś mu to wszystko pokazała”. Aha, już przed samym końcem poprosiłem Hankę, żeby mnie coś pożyczyła z książek. Zgodziła się chętnie i pożyczyła czerwono oprawną *Chimerę* i Stanisława Przybyszewskiego *Taniec miłości i śmierci* oraz *W mroku gwiazd* Mięcińskiego.

Już wtedy dokładnie wiedziałem, że poznając salon Laury zostałem wprowadzony w inny świat, w inną rzeczywistość. Przewróciło mi się zupełnie w głowie. Było zresztą od czego. Przedtem już raz byłem w salonie hrabiów Bobrowskich w Długiem, ale hrabina pokazywała mi same bogate rzeczy, a złoczone ramy i meble nigdy mi się nie podobały. Raz byłem ze szkołą w dworze Stawiarskich w Jedliczu, ale byłem przerażony ilością dam do towarzystwa, które do Zofii Stawiarskiej mówiły „jaśnie pani”. Były tam grafiki Leona Wyczółkowskiego, przypalony przez lampę obraz Wojciecha Kossaka i rysunek Franciszka Krudowskiego.

Fascynacja dworkiem, salonem niebywała. Dziś, kiedy poznałem wiele wnętrz w Wersalu, w Hiszpanii i we Włoszech, to muszę przyznać, że ani, ani – ani trochę nie było cząsteczki tych przeżyć, co wtedy tam.

Zresztą to rozumiałe: wspaniały ogród pełny malin, czeremch, ale i orzechów laskowych, zajęcy, zaś w nocy pełno było białych bezszelustnych sów, i ten salon z królującym w rogu popiersiem na pewno ekstatycznym. Biblioteka też była wspaniała. Książki, które w największej tajemnicy pożyczyłem od Hanki, były bardzo dobrze utrzymane, czyste, prawie nie czytane. Wystarczyło mi nieraz przeczytać kilka wersów, powąchać papier, aby się wprawić w stan niebywały. Co ja zresztą czytałem? Fryderyka Nietzschego w *Chimerze* – wyczytywałem z niego bardzo wiele: prawdę jego myśli, ale i ładny druk, estetykę całej książki, a w wierszach czytałem i puste marginesy wspaniałego papieru; oprawa książki też wiele znaczyła.

Był to rok strasznej wojny. Zmuszono mnie patrzeć na haniebne czyny. Na przykład rozstrzelano w Jedliczu dwadzieścia dwoje niewinnych ludzi przywiezionych z okolicznych więzień, podobno z Tarnowa. Rozstrzelano ich za to, że nasi ludzie z lasu zastrzelili jakiegoś sadystycznego Niemca jadącego bryczką od hrabiostwa Bobrowskich. W Krośnie, gdzie chodziłem do szkoły handlowej, zabrano moich ukochanych nauczycieli: panią Frankowską, panią Hiszpańską, pana Węklara i innych do Oświęcimia i zamęczono. Niemcy wydłubali i rozbili tablicę, na której był wiersz Zygmunta Krasińskiego:

Widzieli z dołu obiecaną ziemię,  
Widzieli światel niebieskich promienie,  
Do godów życia nigdy nie zasięda,  
A może nawet zapomnieni będą.

Niedaleko od mojej szkoły widziałem czterech mężczyzn prowadzonych przez dwóch gestapowców. Nagle dwóch z nich włożyło ręce do kieszeni i wio, sypanie Niemcom jakimś czymś w oczy. Szkopy wrzeszczą, prowadzeni ludzie uciekają, a ja też – dopiero w Polance się rozglądałem. Miałem też kolegę Mariana, dobrze urodzonego, który mi się pochwalił, jak przebił dziury z jednego gabinetu do drugiego. Wyszadzono wtedy lotnisko i inne obiekty, i huki były straszne i dość długie. Marian w tym czasie mając majzel przecinacz i młot starał się zgrać hałas z wybuchami. Nie było to takie niebezpieczne, bo prawie nikogo na stacji nie było, ale... Dziś myślę, co by ojciec Gombrowicz powiedział w swojej *Pomografjce* – „Dziura jak teleskop była do zeszłego roku, uważajcie panowie i panie. Sam z tej dziury korzystałem, i nawet inni sławni pisarze i pisarze ścienni”.

W tym czasie musiałem przymusowo co tydzień pełnić wartę, to znaczy: być odpowiedzialnym za wszystko, co się dzieje na wydzielonym kawałku wsi, czyli na Stawisku i Górcie. Obydwa te przysiółki łączyły się z lasem i najlepiej było nic nie widzieć. Ale ja wtedy może po raz pierwszy widziałem wspaniały księżyc i senne pola zbrocza w poświęcie księżycy. Czar rodzimej przyrody działał, owszem, zacząłem się modlić wierszami poetów z biblioteki Lorki. Micińskiego i Wyspiańskiego do dnia dzisiejszego pamiętam, i pamiętam, jaką cześć wiązałem z krajobrazem. Dymity krematoria i ich piekący dym dochodził aż na Podkarpacie. Róże pienne na grządkach sypały płatkami przy odgłosach nadchodzącego frontu, ale najpierw przyleciały żurawie i czaple, nie znane w moich stronach, trochę później przez Jasiołkę przeskakiwały zające, sarny i mało znane zwierzęta.

Dworek do 8 września 1994 roku pozostał prawie w nietkniętej postaci. Hanka poszerzyła tylko obszar uprawy zboża i ziemniaków. Niemcy byli tam dwa razy, ale stacjonowali niedługo. Sam widziałem przez okno, jak jakiś urodziwy Niemiec przeglądał się w popołudniowym słońcu w lustrze w salonie. Chodziły tam duchy. Raz podczas warty zapalono na chwilę światło. Innym razem drzwi od gabinetu były otwarte. Raz Hanka zapytała: „Szmulek, to ty?”. Innym razem duchy rozmawiały po ukraińsku, ale wtedy rzekomo Niemcy zabrali komplet srebrnej zastawy stołowej i zniknęły z pokoju kominkowego portret Laury Pytlińskiej.

Z koniem źle się skończyło. Był schowany pod brzegiem. Niemcy jechali żarnowiecką drogą, wszystkie kobyły poczuły spocone konie i Niemcy dali salwę z maszynowemu i jechali wprost. Zacząłem uciekać na koniu, ale była następna salwa i krzyk mojej matki, aby natychmiast oddać konia, więc oddałem.

Mój kolega Tadek miał pod lasem podobną sytuację, tylko nie na oczach rodziny. Kiedy wrócił bez konia do domu, jego ojciec powiedział: „Lepiej by było, gdyby ciebie zabrali zamiast tego konia”. Ale nasi ojcowie nie bardzo panowali nad swoimi słowami. Inny ojciec w podobnej sytuacji powiedział: „Gdybym był wiedział, że taki syn, wolałbym, żeby się w dupie udusił”.

Mieszkaliśmy wtedy w stodole, bo w domu mieszkał, jak mówiono, generał Niemiec. Dom cały był jakby w sieci anten i jakichś drutów. Ten generał Niemiec zachodził do stodoły. Właśnie na klepisku młóciiliśmy z matką, chyba jęczmień, gdy ten Niemiec stanął w drzwiach. Ja



poszedłem sobie, a matka dała mu wódki, która stała przygotowana na takiej półce na narzędzia. Szwab był nie od tego, wypił kilka razy, powiedział „matka panienska” i poszedł do naszego domu. Po pewnym czasie wrócił rozłożony całkowicie. Miał połączenie telefoniczne z Monachium, do telefonu dał się jego syn: „Papa, papa”, wołał. Stary splekany – matka kiwa głową, mówi: „Krieg”, i ogląda się w stronę wódki. Za chwilę ten „generał” kazał wszystkim Szwabom wyjść, a nas wszystkich woła do sutereny, otwiera klapę od parteru i wtedy słyszymy audycję radia BBC, zaczynającą się polskim hymnem narodowym. Matce się wydarło: „Bójcie się Boga”, ojciec wyszedł, ja cichcem jak najszybciej też. Dość, że po tym matka miała zaczerwienione oczy. Tę wódkę ze stodoły dopili wkraczający w piątek 8 września „Moskale”, jak się wtedy mówiło. Mojego czarnego barana wtedy zarżnięto, ludzie pili rosół, dawano i mnie baraninę, ale nie mogłem – ogarniał mnie coraz większy pesymizm, depresja.

Wtedy, w ten piątek po latach latały konie. Do jednego z nich podeszła z trawą moja siostra i koń dał się jej przyprowadzić do domu. Trzymała go za grzywę, bo nawet kantar nie miał. Gdzieś około godziny 15 poszedłem ogrodem do dworku. Niedaleko od białej bramy leżał zabity rosyjski żołnierz. Dotknąłem go ręką – wszystko zimne i spokojne. W dworku były w oknie od gabinetu wybite szyby, ale stało tam jako *novum* lustro stylowe. W kapliczce ze św. Janem Nepomucenem też powybijane szybki od odcinków.

Wprowadziliśmy się do swojego domu, ale w domu założono szpital podfrontowy. W pokojach były sale operacyjne – odejmowano. Smrody z karbolu i innych specyfików. Zawszono mnie i zamendzono. Ratuję się, jak mogę, a tu nie było nikogo, komu się zwierzyć i doradzić. Okazało się, że przetrwała jedna rodzina żarnowieckich Żydów. Mąż Łai Ungierowej był zresztą po raz drugi w Związku Radzieckim.

Na nowego konia kazali mi rodzice wsiąść, niby to wypróbować go, ale koń uciekł wraz ze mną do stajni, bo usłyszał huk wystrzału. Szczęśliwym trafem uderzyłem się do nieprzytomności głową do ściany nad stajnią i spadłem z tego czarnego konia. Ale rodzice uznali tę próbę za dostateczną – zawyrokowali, że dam sobie radę z koniem i od tego czasu musiałem jeździć i pracować z koniem.

Musiałem jechać z Wojnarem końmi do Chlebnej po worki ze zbożem, zawieźć to w taborze za Krosno, pod jakąś miejscowość za Miejscem Piaستowym, czyli właśnie na przełęczy dukielskiej. Za Miejscem Pia-

stowym spalone domy, zniszczone od pocisków dachy, wywieszzone obrazy Matki Boskiej Tarnowieckiej i św. Jana Duklana. Niemcy obsadzeni na górach dukielskich mieli nas jak na patelni. Trudno mi powiedzieć, kto zginął, bo Wojnar uciekł i ja podciąłem konie i wio, ile sił naprzód. Zdarło te worki ze zbożem, i zgrzanymi końmi biegiem wróciłem do domu – zły jak piekło, bo przecież mógł pojechać mój ojciec albo mój starszy ode mnie o szesnaście brat Waclaw. Taki to chrzest bojowy wybrali mi rodzice. Moja postawa spotkała się z pełnym uznaniem wszystkich, ale ciągle przypominano mi: „skora w plen pajdiosz” i planowano za mnie wszystko.

Stosunki z ojcem przerodziły się w konflikt. Dość, że ojciec dobrze splunął i powiedział, że mam ślepie, jakbym siedem wsi wypalił i wszystkie sieroty pokurwił. Rozmawiał też przy mnie i o mnie, żaląc się głupszym, byle jakim bimbrowcom, mówiąc, że ze mnie nic nie będzie, że nie mam tego zozu. Milcząc, wzrokiem pytałem się matki, co to wszystko znaczy. Mówiła: „Ojciec chory, sam na siebie się nie żywi”. Ojciec zniszczył mi etażerkę z książkami, portreciki gazetowe Mickiewicza i Konopnickiej, uszkodził ileś książek. Powiedziałem też mu, że się na świat nie prosiłem.

W nocy nie dawało się spać – zwozili biednych rozwalonych ludzi, modlili się we wszystkich językach Sojuszu. Raz, nie mogąc spać, wstałem i cicho wszedłem do stajni. Syczały tylko gęsi. Odpiąłem konia, wyprowadziłem go i wio po końskich dupach jakimś powrozem. Poleciał gdzieś w ciemną noc. Rano udawałem szczerze przerażonego. Moja osobista sytuacja bardzo się poprawiła, choć za jakieś dwa tygodnie rozchorowałem się na żółtaczkę.